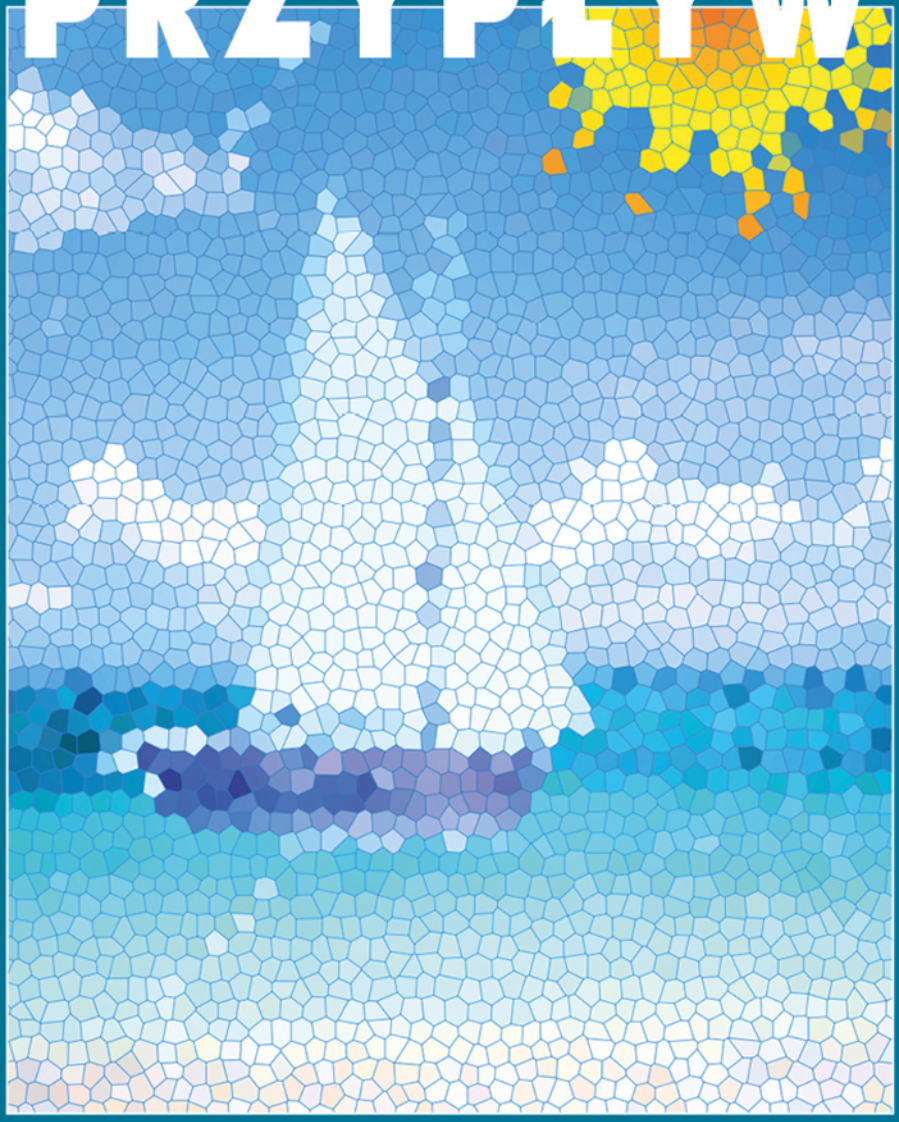
Nr 001/2019

magazyn literacki

PRZYPŁYW



W numerze: *Jerzy Tabor, Marta Kisielewicz, Anna Kłosowska, Iosif Brodski, Władimir Wysocki, Robert Frost, Aleksander Janowski, Iwan Sierow, Renezja.*

Nr 001/2019

magazyn literacki

PRZYPŁYW

Wersja demonstracyjna

„Przypływ" Magazyn literacki

Copyright © by Aleksander Janowski, 2019
Copyright © by Wydawnictwo Psychoskok Sp. z o.o., 2019

Wszelkie prawa zastrzeżone. Żadna część niniejszej publikacji
nie może być reprodukowana, powielana i udostępniana
w jakiejkolwiek formie bez pisemnej zgody wydawcy.

Redaktor naczelny:
Adam Borowicki

Wydawca:
Aleksander Janowski

Redaguje Zespół w składzie:
Andrzej Kowalski, Bożena Malinowska, Stefania Przemyska

Stała współpraca:
Jerzy Tabor – niespożyty, twórczy duch, artysta-muzyk i niezapomniany Tespian,
Marta Kisielewicz – faworytka muzy Kaliope, dbająca o powroty Autorów zza drugiej strony lustra,
Anna Kłosowska – internacjonalistka na straży feminizmu w prozie i poezji, w domu i w zagrodzie,
Aleksander Janowski – przygotowanie zacieru, procesu fermentacji i destylacji produktu
oraz zaproszeni autorzy występujący gościnnie

Redaktor prowadząca:
Renata Grześkowiak

Korekta:
Andrzej Bartniak

Skład:
Joanna Barbara Gębicka

Projekt okładki:
Magda Wiklińska

Matka chrzestna wydania:
Krystyna Wilson

Public relations, promocja i reklama:
Albert Stępniak

ISBN: 978-83-8119-569-0

Kontakt redakcyjny: alaj717w@gmail.com
Zachęcamy Państwa do nadsyłania swoich tekstów do publikacji.

Zamiast przedmowy

Oddajemy do rąk Szanownych PT Czytelników pierwszy numer polonijnego magazynu literackiego w hrabstwie Palm Beach Południowej Florydy.

Mamy nadzieję, że przy życzliwym zainteresowaniu Państwa ujrzą świat kolejne wydania o interesującej treści.

Jak mawia wschodnie przysłowie, nawet na najdłuższej drodze najważniejszy jest pierwszy krok.

Właśnie go uczyniliśmy. Zamierzamy poczynić kolejne.

Zapraszamy mieszkańców naszego słonecznego stanu do współpracy oraz wszechstronnego wspierania naszych wysiłków.

Jeśli napisali Państwo wiersz, opowiadanie, powieść lub wspomnienia z wakacji, chętnie je zamieścimy.

Dziękujemy za uwagę.

Życzymy dobrej lektury

Z nami nie będzie nudno.

Zespół redakcyjny

przypływ unosi wszystkie łodzie

Jerzy Tabor

Motto życiowe – *jest dobrze*.
***Bo jest*.**

Generalnie życzliwy ludziom. Wyjątkowo.

Niespokojny duch, pomnożony na ciekawość nieskończonego świata, nieposkromiony pociąg do muzyki, estrady i desek scenicznych, z godnymi podziwu wynikami.

Udało mu się wyjść z tarczą z większości życiowych opresji.

Niezrównany kabareciarz, gwiazda PAGART-u i niezapomniany pan Dulski w słynnej komedii Gabrieli Zapolskiej.

Chętnie słuchany, oglądany, oklaskiwany i podziwiany.

Jego bogatego życiorysu starczyłoby na kilka przeciętnych.

Czekamy, Jurku, na Twoje fascynujące wspomnienia na naszych łamach!

Konterfekt w lustrze

Kogoż ty udajesz, durny, stary błaźnie,
Kandydacie na pomnik, intelektu głębio,
Przecież wiesz o tym dobrze i widzisz wyraźnie
Że się tylko wygłupiasz, durny, na potęgę.

Nie czekaj aż cię łaskawie pędzel szczęścia maźnie,
Przestań fałszować życie oszukaną kartą
I pomyśl jeszcze o tym, durny, stary błaźnie
Czy to naprawdę warto, czy naprawdę warto?

Jerzy Tabor

KOCHAŁEM już tyle razy
zawsze bez pamięci
i wbrew temu co się nazywa zdrowym rozsądkiem
bo nie potrafiłem inaczej
Trochę ciebie wymyśliłem
ale wymyślałem wszystkie swoje miłości
Spotykam cię codziennie
ubraną w rozpuszczone włosy
a czasem tylko w listki powiek
Szczęśliwe powietrze, które cię każdego ranka miłośnie obejmuje
i noc, która się nad tobą łagodnie zamyka
Kocham wszystko, co tobą w tobie i przy tobie
zachmurzone niebo twoich smutków
jasne słońce twojego uśmiechu
twoje biodra, ramiona, stopy
i kropelkę potu nad różą ust
Jesteś moją ostatnią miłością
i to zupełnie nieważne
że kochałem już tyle razy.

Jerzy Tabor

Listy do Vicki

Masz w sobie tę odrobinę szaleństwa, niezbędną, żeby zachować normalność w naszym zwariowanym świecie.
Mam nadzieję, że nigdy się nie zmienisz.

Kostaryka

Usiłuję napisać do ciebie od kilku dni, a właściwie od momentu, kiedy wsiadłem do samolotu. Wymyśliłem sobie, że zabiorę cię ze sobą w tę podróż, więc jesteś ze mną, w mojej wyobraźni. Pojawiasz się nieoczekiwanie i znikasz i mam nadzieję, że ci się to podoba.

Ale naprzód o Kostaryce. Kostarykę niełatwo opisać, tak jak niełatwo jest opisać obraz lub muzykę. Jak opowiedzieć słoneczniki Van Gogha, te żółcie, ochry, brązy i niebieskość jego nieba? Jak opisać preludia Debussy'ego, albo nokturny Chopina? Jak to zrobić, żebyś zobaczyła Kostarykę: te szaleństwa zieleni, wzgórza, uskoki, wąwozy, doliny, jary, rozlatujące się mosty, a raczej mostki, zbocza obsypane hibiskusami, purpurowymi kwiatami imbiru, hiacyntami, bladoróżowymi buganvilliami, ciemnozłotymi słonecznikami, krzakami kawy, olbrzymimi paprociami, mangrowcami i niezliczoną ilością roślin, których nie sposób rozpoznać, chyba, że ktoś się tutaj urodził. Jak opowiedzieć ciemne, wulkaniczne plaże Guanacaste, rozlewiska kanałów Tortugero, gdzie wylęgają się żółwie, częściowo odsłonięte przydrożne gospody, w których można zjeść picco de gallo, czyli ryż z fasolą drobno pokrajaną, rybę, grube plastry tutejszego sera, no i oczywiście wypić aromatyczną, doskonałą kawę.

Pojawiasz się niespodziewanie i równie niespodziewanie znikasz. Mogłabyś być ze mną przez cały czas, ale pojawiasz się najczęściej wtedy, kiedy wydaje mi się, że sprawi to tobie największą przyjemność. No więc byłaś ze mną w klubie „La Guagua" co po kubańsku znaczy autobus. Tak przynaj-

mniej twierdzi mój przyjaciel Louis, który gra tutaj na altowym saksofonie ze swoim kubańskim zespołem. Trochę piliśmy i tańczyliśmy merenge i salsę. Tak naprawdę to byłaś ze mną jeszcze w wielu innych miejscach, ale dni nakładają się na siebie i wszystko zaczyna się mieszać. Włóczyliśmy się jeszcze po brudnym i zatłoczonym centrum San Jose, jedliśmy lunch z naszym kostarykańskim ambasadorem, Andrzejem Brajterem w malutkiej włoskiej restauracji koło ambasady. A potem przyleciała Raksha ze swoim mężem Frankiem i pojechaliśmy razem w góry, do kurortu El Tucano do ciepłych, termicznych źródeł. Było fajnie, że razem z nami jedziesz, bo jak pamiętasz, Raksha jest trochę zwariowana a poza tym razem z Frankiem spędziła wiele czasu w ashramie i w Indiach. Frank studiował psychologię i filozofię hinduską, więc rozmawialiśmy dużo o zen, yoga i medytacji.

El Tucano jest jeszcze trochę puste o tej porze, prawie bez turystów, bo sezon dopiero się zaczyna. Zaprojektowane w mauretańskim stylu; pełne łuków, podcieni, arabskich ornamentów, ściany z bordowego i popielatego stucco. Puste korty tenisowe pełne palmowych liści i olbrzymi, opustoszały olimpijski basen. Późny obiad jemy już po zmroku, na niewielkim tarasie, za którym słychać szum niewidocznego potoku i gdzie zaczyna się już szaleństwo tropikalnego lasu. Zamawiamy butelkę czerwonego wina, a Raksha opowiada nam swój zwariowany życiorys. Rano bierzemy z recepcji tenisowe piłki i rakiety, uprzątamy liście z kortu i aż do południa gramy. Nie wiem, czy kiedyś grałaś, ale chyba tak, może w poprzednim życiu, bo całkiem nieźle dajesz sobie radę. Szybko łapiesz serwowanie, piłki często lądują za niskim parkanem, przynosimy je razem z Frankiem. Po lunchu jedziemy zobaczyć częściowo aktywny wulkan Arenal, narodową, turystyczną atrakcję. Niestety, jest mgła i kiedy po dwóch godzinach docieramy na miejsce, ledwo widać czerwoną poświatę lawy. Wracamy po zmroku, Raksha pomaga Frankowi odnaleźć powrotną drogę. Siedzimy z tyłu i zasypiasz z głową opartą o moje ramię.

Następnego dnia zjawiasz się wcześnie, o szóstej rano. Kawy jeszcze nie ma. Idziemy do małej, kamiennej łaźni przy basenie. Wisi niska, poranna

mgła. Nieopisany spokój. Cisza aż dzwoni w ciepłym, wilgotnym, porannym powietrzu. Stoisz nad brzegiem basenu ubrana w jednoczęściowy kostium. Przed skokiem do wody zastygasz na chwilę w bezruchu, ale jesteś pełna podskórnej, pulsującej energii jak strzała gotowa do wypuszczenia z łuku. Patrzę na ciebie z boku i skaczemy prawie jednocześnie. Woda jest orzeźwiająca, ale nie zimna. Płyniemy obok siebie, na wznak, patrząc w lekko zachmurzone niebo. Kilka minut, które chciałoby się zatrzymać na zawsze.

Panama

Do Panamy lecimy razem. Wstajemy wcześnie, o szóstej, żeby zjeść śniadanie z Patty i Bobem, właścicielami „Estate Inn", w Las Alturas de Pursical, półtorej godziny samochodem od San Jose. Przyjechaliśmy tu wczoraj, w samo południe. Poprzedniego dnia nocowaliśmy w Jaco, zaraz przy plaży, kilkanaście kroków od oceanu. O świcie pobiegliśmy się wykąpać. Plaża była zupełnie pusta, a woda miała kolor twoich oczu. Wzdłuż plaży, nisko nad falami przelatywały głodne pelikany. Skakaliśmy przez wysokie, surfingowe fale a potem przyszła Raksha ze swoim mężem Frankiem i zaraz po śniadaniu pojechaliśmy do Alturas, żeby spotkać się z Davidem. Doktor David, jak go tutaj nazywają, ma 60 lat i jest masażystą. Mocno zbudowany, wysunięta dolna szczęka i szpakowate włosy. Były kanadyjski policjant. Pracował z kręgarzami i studiował wschodnie techniki masażu w Tajlandii. Mieszkał przez jakiś czas w Indiach i jest buddystą zen. Do Kostaryki przeniósł się pół roku temu. Mieszka z 21-letnią dziewczyną Anną, ale ogląda się prawie za wszystkimi kobietami. Wygląda na to, że go lubisz i darzymy się tak zwaną wzajemną sympatią, chociaż nie zawsze podoba mi się sposób, w jaki na ciebie patrzy.

Samolot startuje punktualnie o 10:45. Lądujemy w Panamie dokładnie po godzinie. Na lotnisku wita nas Franek Filar i Jola. Franek jest księdzem. Ma około 40 lat, czarne, kręcone włosy i krótką brodę. Pracuje

w Panamie od roku jako misjonarz, przedtem był w Nikaragui. Jola jest załogantką mojego przyjaciela Wojtka, który już drugi raz płynie katamaranem dookoła świata. Jest duszno i parno. Idziemy wszyscy na lunch, na szczęście pod parasolami, bo przelatuje krótki, ciepły deszcz. Jola wraca na katamaran. ale będziemy się jeszcze spotykać. Franek trochę się śpieszy bo musi dać ślub swoim indiańskim podopiecznym, więc zawozi nas do hotelu „Costa Inn", który jak twierdzi przewodnik po Panamie, jest luksusowy, tani i wygodny, a co niestety mija się z prawdą. Panama City jest zupełnie innym miastem niż San Jose. Przewodniki turystyczne porównują Panamę z Miami. Może jest w tym porównaniu trochę racji. San Jose Leży w dolinie, otoczone wzgórzami, sklecone z blachy i dykty. Panama City leży w zatoce nad Atlantykiem. Zbudowane przez Amerykanów i za uprane pieniądze narkotykowych mafii. Z dystansu, centrum Panamy przypomina Manhattan, pełne wysokich, przeszklonych drapaczy chmur. Do komunikacji miejskiej służą bardzo tanie taksówki, albo stare, wysłużone, przemalowane na czerwono, amerykańskie szkolne autobusy. Ze względu na szybkość, z jaką pędzą po ulicach, nazywa się je tutaj „Diablos rohos" – czerwone diabły. Idziemy szerokim bulwarem nad zatoką. Jest już ciemno. Zmrok zapada tu o szóstej, bez względu na porę roku. Chcemy coś zjeść i posłuchać jazzu. Łapiemy taxi i jedziemy do „Las Bovedas", klubu jazzowego, przerobionego ze starego, miejskiego więzienia. Niestety, dzisiaj nikt nie gra. Muzyka była poprzedniego dnia. Jesteśmy w najstarszej części miasta, Casco Vieho. Jeszcze nie jesteś głodna, więc idziemy odwiedzić Grzegorza i Hektora, parę gejów, którzy mieszkają na sąsiedniej ulicy. Gustownie urządzone, dwupoziomowe mieszkanie pełne książek, płyt, świec, zdjęć i obrazów. Grzegorz jest Polakiem a Hektor Amerykaninem. Zajmuje się marketingiem i dystrybucją tekstyliów firmy Tommy Hillfiger w Ameryce Centralnej i Południowej. Robi się późno, nareszcie jesteś głodna, idziemy coś zjeść. Nie ma tłoku, siadamy na rogu ulicy w niewielkiej, ogródkowej restauracji. Zamawiamy czerwone wino i gaspacho. Mówię, że chciałbym Cię do-

tknąć, ale boję się, że znikniesz. Śmiejesz się i potrząsasz głową. Z jakiegoś balkonu słychać muzykę. Julio Iglesias śpiewa słodko stare tango „A media Luz".

Chichén Itzá

Wszystko zaczęło się od bólu ucha. Przeziębienie dawało o sobie znać już na parę dni przed wylotem do Cozumel. Przełożyliśmy więc lot na następny dzień. Na lotnisku w Dallas ponad godzinę czekaliśmy z Johnem na mikrobus do hotelu. Było nieoczekiwanie zimno, nawet jak na koniec grudnia. Przytupywaliśmy i pociągaliśmy dla rozgrzewki znany napój z podróżnej piersiówki. Dookoła płynęła łagodnie słynna sylwestrowa noc. Lotnisko powoli pustoszało. Tutaj było jeszcze przed północą ale tam, na drugiej półkuli, w słowiańskim kraju nad Wisłą dogasały już powoli noworoczne bale. Krajobraz po bitwie. Confetti na stolikach, na parkiecie i w talerzach z bigosem. Więdnące sylwestrowe balony, zmęczone makijaże i poprzewracane puste butelki. „Panowie orkiestra, płacę, jeszcze jeden kawałek". Poranne polowanie na taksówki.

Do Meksyku przyleciałem już przeziębiony. Po dwóch dniach nurkowania pojawił się pulsujący ból w uchu. Aplikowana w zalecanych dawkach tequila nie dawała oczekiwanych rezultatów. I to może właśnie wtedy, gdy z uporem intensyfikowaliśmy tę podpartą wielowiekową tradycją kurację, może właśnie wtedy John powiedział z lekko wyczuwalną nutą rezygnacji.

– You know what, brother. Maybe you should take off for a day or two. Wiesz co, może powinieneś, brachu, odpuścić na dzień lub dwa. Pokręć się po okolicy. Pojedź do Chichén Itzá .

Właściwie powinien powiedzieć: pojedźcie, ale skąd mógł wiedzieć o tobie, skąd mógł mieć jakiekolwiek pojęcie, że tak często jesteś ze mną, że zabieram cię ze sobą jak jakiś pomylony, że przychodzisz i odchodzisz, że zjawiasz się niespodziewanie i tak samo niespodziewanie znikasz. Skąd mógł wiedzieć, że już następnego dnia pojedziemy razem na północ Yukatanu.

Jerzy Tabor

Alarm w telefonie komórkowym zadzwonił punktualnie o szóstej rano. Powietrze jest ciepłe i wilgotne. Idziemy w stronę recepcji, za którą powinien być postój taksówek. Nagle chwytasz mnie za ramię i krzyczysz lekko przestraszona.

Nic się nie stało, to tylko wyskoczyła ci spod nóg zaspana iguana. Mamy dojechać do San Miguel, stamtąd promem do La Playa de Carmen koło Cancun, a potem autokarem wycieczkowym do Chichen Itza. W taksówce trochę rozmawiamy z kierowcą, próbuję mój hiszpański. Carlos ma 65 lat, żonę młodszą o lat 20 i teściową młodszą o rok. Przyjechał tutaj 20 lat temu z północy Yukatanu i tak mu się tu spodobało, że został na zawsze. Carlos też nurkuje, poluje na ryby z podwodną kuszą, ale po wschodniej stronie wyspy, tam gdzie już nie obowiązują przepisy podwodnego rezerwatu. Jest jeszcze wcześnie. Carlos ziewa, ty też, pewnie z powodu naszego wczorajszego, nocnego spaceru.

Poszliśmy brzegiem morza w stronę dalekiej łuny świateł nad San Miguel. Noc była jasna, bo już prawie od tygodnia stała pełnia, jakby księżyc zwariował albo coś mu się pomyliło. Miękki, wilgotny piasek przyjemnie chłodził stopy i wszystko dookoła było tak jak na pocztówce albo w kinie.

Wzdłuż ciemnej linii horyzontu przesuwał się powoli rozjarzony światłami, olbrzymi wycieczkowiec. Prawie nie odzywaliśmy się do siebie, bo czasami nie trzeba nic mówić. Położyliśmy się na plecach na chłodnym piasku, trzymając się za ręce. Patrzyliśmy w ciemne, lekko zachmurzone niebo i myśleliśmy o tym, o czym myślą wszyscy od początku świata patrząc gwiazdom w oczy. O samotności, o początku wszystkiego i o końcu. Wracaliśmy powoli, omijając porozrzucane na ciemnej plaży, opustoszałe leżaki. Od morza wiał ciepły, łagodny wiatr. Przynosił zapach dalekich, egzotycznych podróży, muszli i wodorostów. Wycieczkowiec był już tylko maleńkim, świetlistym punktem na styku nieba i oceanu.

Carlos zwalnia, powoli dojeżdżamy do promowej przystani. Mijamy przycumowane kilkadziesiąt metrów od brzegu, kilkunastopiętrowe, jeszcze śpiące wycieczkowe kolosy. Prom do Cancun już czeka, ale

mamy jeszcze trochę czasu, żeby się napić kawy. Byłem tu z Kasią dwa lata temu po drodze do Cancun. Przylecieliśmy do Cozumel na nurkowanie. Father and daughter, for quality time together. Nie bardzo nam to wychodziło. Kasi brakowało jej przyjaciół, po przyspieszonym kursie nurkowania jeszcze nie bardzo pewnie czuła się pod wodą. Chodziła późno spać i wstawała koło południa, kiedy już było po pierwszym nurkowaniu. Czy to był stracony czas? Chyba nie. Uczyliśmy się siebie. Przez ostatnie kilka lat byliśmy na dystans. Nie układało nam się dobrze z Paulą i Kasia milcząco brała stronę mamy. Jeszcze była po tamtej stronie cienia, może już nie zupełnie, ale jednak. Kiedy po powrocie z Cozumel wysiedliśmy z samolotu, nikt na nas nie czekał na lotnisku. Niejasno czułem, ze coś jest nie tak. Jeszcze nie rozumiałem, nie wiedziałem, że to początek końca. Że przyjdzie noc w środku dnia. Że już za parę dni wrócę z pracy do spustoszonego domu. Że po kilku godzinach posłaniec z biura szeryfa przyniesie zawiadomienie o separacji.

Nie wiedziałem, ale czy to jest jakieś usprawiedliwienie? Czy, gdybym wiedział, to mógłbym cokolwiek zmienić? Zatrzymać czas? Cofnąć przeszłość? Wymazać z pamięci? Jeżeli najważniejsza jest chwila obecna, jeżeli jedynie prawdziwie istnieje tylko tu i teraz, to w takim razie to co się wtedy stało nie powinno już mieć żadnego znaczenia. Tu i teraz skończyliśmy pić kawę, tu i teraz uśmiechasz się do mnie i grzbietem dłoni muskasz mnie po policzku. Nie ma przeszłości i nie istnieje przyszłość. Jest tylko tu i teraz.

Czas na nas. Po krótkim, wąskim trapie wchodzą na prom pierwsi pasażerowie. Znajdujemy wolne miejsca na odkrytym, górnym pokładzie, żeby móc popatrzeć na oddalający się brzeg a potem już tylko na niebo i morze. Jest wcześnie i mimo że słońce stoi już wysoko jest jeszcze trochę chłodno. Prom płynie szybko, za pół godziny powinniśmy być w Playa de Carmen. Jesteś śpiąca, zwijasz się na ławce i kładziesz głowę na moich kolanach. Okrywam cię wyciągniętą z plecaka kurtką, zasypiasz prawie natychmiast. Otwieram „Podróże z Herodotem" Ryszarda Kapuścińskiego, z którymi nie rozstaję się od kilku dni. To jedna z tych książek, które czyta się po trochu,

po kilkanaście stron dziennie, delektując jak wyszukaną potrawę, jak wiersze Herberta. Zdarzają się czasem takie książki, które chciałoby się czytać w nieskończoność. Coś podobnego przydarzyło mi się dawno temu, w Kilpisjarvi, na północy Finlandii. Leżałem w szpitalu po operacji i miałem ze sobą tylko jedną książkę, ostatnią nieprzeczytaną z kończącego się książkowego zapasu, „Sklepy Cynamonowe" Brunona Schultza. Czytałem w gorączce, dozując po kilka stron dziennie, żeby wystarczyło do wyzdrowienia.

Ktoś powiedział, że Ryszard Kapuściński jest tłumaczem kultury. Że tworzy historyczny atlas świata na przestrzeni dziejów. Że opisuje mechanizmy historii, rozpadanie się mocarstw, państw i imperiów. „Podróże z Herodotem" to książka, w której przenikają się epoki. Książka o perskim królu Cyrusie, o Dariuszu, Kserksesie i jego okrutnym teściu Mardionizosie. O pustyniach Libii, o Egipcie i o Babilonie. O szalonym Zopyrysie i o przebiegłej królowej Massagytow, Tomyris. O komunistycznych Chinach, o niezmierzonych Indiach i o skrwawionej, skłóconej Afryce. O Persach, Scytach, Ammonach, o zbrodni i karze, o tym, że nic nie jest wieczne i o antycznej koncepcji nieuniknionego przeznaczenia.

Właśnie, co to jest przeznaczenie? Czy to ma znaczyć, że nie mamy żadnego wpływu na to co się z nami dzieje? Czy to możliwe, że wszystko zostało już kiedyś wymyślone, zadecydowane do najdrobniejszego szczegółu, a my tylko odgrywamy gotowy scenariusz? Chciałbym cię o to zapytać, ale śpisz i cichutko mruczysz przez sen. Gdzie jesteś, z kim, w jakim wymiarze? Czy to dobry czy zły sen? Oddychasz spokojnie, więc chyba dobry, chyba nikt nie robi ci krzywdy. Może śni ci się, że płyniesz przez powietrze albo łąka pełna motyli.

Dopływamy do Playa de Carmen. Nie spałaś długo. Chowam książkę do plecaka i idziemy do oddalonego o kilka uliczek od wybrzeża, nocnego klubu Senor Frog, żeby spotkać się z resztą naszej wycieczki. Nie czekamy długo. Po kilku minutach podjeżdża wycieczkowy autokar. Naszym przewodnikiem jest Ivan, młody yukatańczyk, jak twierdzi, potomek Majów. Spędzi z nami cały, ma nadzieję, niezapomniany dzień. Od razu dowiadujemy się, że bisz akkeba znaczy w języku Majów how are you do-

ing i że trzeba i odpowiedzieć ma-lo, co znaczy dobrze, ale po hiszpańsku malo znaczy źle, więc żeby się nie pomylić, że josz bakit znaczy dziękuję, że nasz kierowca ma na imię Angelo, że Danielo będzie roznosił kawę i drożdżówki i że zaraz będzie delicious coffee break. Z głośników sączy się latin jazz. Bezszelestnie suniemy po betonowej nawierzchni. Ivan stuka palcem w mikrofon, by sprawdzić, czy działa i zaczyna opowiadać o Yukatanie.

Półwysep Yukatanu jeszcze 65 milionów lat temu był pokryty oceanem. Naukowcy jeszcze nie uzgodnili pomiędzy sobą, jak znaleźli się tu pierwsi mieszkańcy. Teorii jest kilka. Według jednej, około 12 tysięcy lat temu pierwsze plemiona mongolskie dostały się przez zamarzniętą cieśninę Beringa na Alaskę i przez Amerykę Północną i Centralną dotarły w końcu do Ameryki Południowej. Antropolog George Erickson wysuwa teorię, że cywilizacja Centralnej Ameryki mogła zostać stworzona przez ocalałych mieszkańców Atlantydy. Zgodnie z Platonem, Atlantyda zapadła się w morze około 11.000 lat temu. Ci, którzy ocaleli z katastrofy mogli dotrzeć do Ameryki. Według dawnych wierzeń Majów, zawdzięczają oni wszystko bogu Kukullkan, który bardzo dawno temu przybył z morza i nauczył ich sztuki języka, matematyki i astronomii. Według Azteków ten tajemniczy bóg-człowiek nazywał się Quetzalcaot a Inkowie nazywali go Kon-Tiki

Ivan wyłącza na chwile mikrofon, Danielo roznosi kawę, Bob Marley śpiewa – Oh woman don't cry. Patrzysz przez okno autokaru, za którym jak w fotoplastikonie przesuwają się nazwy plaż i ośrodków hotelowych: Akumal, Sirenes, Coral Reef Club, Playa Azul. Spoglądam na ciebie z boku. Mógłbym się tak gapić godzinami. Odgadywać, o czym myślisz, obserwować jak odgarniasz włosy z czoła, marszczysz nos, robisz miny, jak się uśmiechasz. Wydaj mi się, że wiesz o tym, chociaż udajesz, że nie zauważasz.

Dojeżdżamy do Valladolid. Małe, biedne miasteczko. Wąskie, brukowane uliczki i stragany z pamiątkami. Gliniane figurki wojowników, srebrne wisiorki z literami alfabetu Majów, kolorowe sombrera i białe meksykańskie stroje. Valladolid żyje z turystów, jest tutaj jedno z najpiękniejszych podziemnych jezior. Szacuje się, że na całym Yukatanie jest około 100 ja-

skiń z podziemnymi jeziorami. Niektóre są bardzo głębokie, niebezpieczne i niedostępne dla turystów. Nasze nazywa się Xkeken i jest uważane za jedno z najpiękniejszych. Podobno mieszkał tu bóg deszczu Chaac, któremu składano ofiary z ludzi. Schodzimy długo na dno obszernej groty po kamiennych, wilgotnych stopniach. Grota jest częściowo odkryta i przez otwór na górze wpada słońce. Rozświetla powietrze, wydobywając z cienia głęboką zieleń długich sznurów splątanych lian i jakichś prehistorycznych, białych kwiatów. Pocętkowana słońcem woda ma kolor granatowego szkła. Jest tajemniczo, jak w zaczarowanym ogrodzie z bajki Andersena.

Na pomysł, żeby skoczyć do wody, wpadamy prawie jednocześnie. Nawet nie musimy o tym mówić. Po prostu spoglądamy na siebie i wiemy. Masz na sobie szorty i bawełniany T-shirt. Zrzucamy sandały i skaczemy jednocześnie z niewysokiej skalnej półki trzymając się za ręce. Woda jest orzeźwiająco chłodna i niezwykle przeźroczysta. Oboje mamy szeroko otwarte oczy. Żałuję, że nie mam ze sobą podwodnej kamery. Chciałbym ci zrobić zdjęcie. Z rozsypanymi i rozfalowanymi dookoła twarzy włosami wyglądasz jak płynąca przez powietrze nimfa z obrazu Chagalla.

Amarillo, Teksas

– Co to jest przyjaźń? – zapytał Mały Książe.
– Przyjaźń– powiedziała Róża – to umieć komuś zaufać, zaufać bezgranicznie.

Pewnie już śpisz, bo u ciebie jest już druga w nocy. Znowu dużo o tobie myślę. Może trochę inaczej niż kiedyś, bo przedtem to była wariacja, obłęd, pomieszanie zmysłów i musiałoby się skończyć alkoholem albo proszkami. Psycholodzy twierdzą, że organizm po pewnym czasie samoczynnie włącza system samoobronny, żeby nie doszło do spięcia w systemie odpornościowym i do katastrofy. Już powoli przyzwyczaiłem się do tej myśli, że jesteś daleko i że tak naprawdę nie bardzo wiadomo, kiedy się zobaczymy. Ale myślę o tobie bardzo często, tylko że chyba trochę spokojniej. Wiesz, że kocham

cię już od dawna i dopóki ci tego nareszcie nie powiedziałem, to czułem się głupio i niezręcznie, tak jakbym nadużywał twojego zaufania, zaufania przyjaciela. Powiedziałem ci o tym, bo ukrywanie było już nie do wytrzymania no i przecież nie ma w tym nic złego, że się kogoś kocha. Miłość i przyjaźń to zresztą bardzo harmonijne zestawienie. Miłość i przyjaźń bardzo pięknie się ze sobą łączą. Bardzo chciałbym cię objąć, zanurzyć twarz w twoich włosach i delikatnie pocałować w powieki i dalej być twoim przyjacielem. Zawsze chciałem ci to powiedzieć, masz takie delikatne powieki jak madonna z bizantyjskich ikon.

Byłaś dzisiaj ze mną na operze. Wystawiali „Rigoletto". Pierwszy akt trochę powoli się rozkręcał, ale już drugi i nareszcie trzeci coraz lepszy. Owacja na stojąco, przy podniesionej kurtynie. Klaskałaś chyba najgłośniej ze wszystkich.

Dobranoc

Poniedziałek

...Bo we dwoje jest lepiej i raźniej,
i gwiazdy się widzi wyraźniej,
i lepiej się słyszy
śpiew ptaków najcichszy,
we dwoje...

Samotność. Niełatwo jest być samotnym, nie każdy potrafi być sam ze sobą. Platon twierdził, że kiedyś, w zamierzchłej przeszłości, wszyscy ludzie byli dubeltowymi stworami z podwójna parą rąk i nóg, ale rozgniewany z jakiegoś powodu Zeus porozdzielał nas na dwie części i od tej pory szukamy się nawzajem, żeby odnaleźć brakującą połowę. No właśnie, brakującą połowę, którą sama wiesz o tym najlepiej, tak trudno odnaleźć. Bo przecież nie chodzi tylko o to, żeby obudzić się przy kimś rano i na krótką chwilę zasypać czarną dziurę samotności.

Jerzy Tabor

Samotna, pełna niepokoju, niebieska myszko. Trudno jest być samotną. Potrzebujesz kogoś, kto byłby przy tobie. Potrzebujesz kogoś, kto byłby twoim najlepszym przyjacielem. Kogoś, kto przyniósłby ci rano kawę do łóżka i powiedział, że jesteś śliczna, mądra i kochana. Kogoś, kto by ci w zimowy dzień rozmasował zmarznięte dłonie i stopy i zaparzył gorącą herbatę. Kogoś, z kim mogłabyś pójść wieczorem na długi spacer po plaży a potem położyć się na piasku i patrzeć w gwiazdy. Kogoś, kto by cię objął i delikatnie wyjął z rąk kieliszek. Kogoś, kto przyniósł by ci kwiaty, niczego nie oczekując. Kogoś, z kim mogłabyś tańcząc zamknąć oczy i pozwolić się prowadzić, poddając się rytmowi i muzyce. Kogoś, kto by cię przeprowadził przez codzienny labirynt decyzji. Kogoś, kto potrafiłby wysłuchać Twoich smutków i powiedzieć: nie martw się, będzie dobrze, jestem przy Tobie. Widzisz, myszko śliczna, nawet nie wiedziałaś, jak bardzo mnie potrzebujesz.

Środa

Niespokojność. Długo nie mogłem znaleźć tego słowa. Niespokojność to esencja twojej osobowości. To coś, co cię odróżnia od innych ludzi. To niespokojność nie pozwala ci zasnąć w nocy, to niespokojność sprawia, że budzisz się rano z moralnym kacem, to przez swoją niespokojność wplątujesz się w karkołomne, personalne związki i eksploatujesz się do krańca swoich fizycznych i emocjonalnych granic. Ale jednocześnie, ta sama niespokojność sprawia, że potrafisz się tak prześlicznie bez żadnego powodu uśmiechać, śpiewać, kiedy prowadzisz samochód i tańczyć na środku plaży. To ta niespokojność sprawia, że jesteś w pędzie, w ciągłym ruchu, że nie potrafisz, czy też nie możesz się zatrzymać w poszukiwaniu. Że masz więcej pytań niż odpowiedzi. Gdzie je znaleźć? Katolicy mówią, że w Biblii, muzułmanie twierdzą że w Koranie, Żydzi upierają się, że w Talmudzie. A ja myślę, że one są w tobie i że je kiedyś odnajdziesz. Pod jednym warunkiem. Że nigdy nie utracisz swojego niepokoju.

Dobranoc

Piątek

Piąta rano. Nie bardzo wiedziałem, czy budzić cię tak wcześnie, bo tak ładnie zawsze śpisz nad ranem, czy po prostu zrobić to, co lubię najbardziej: usiąść przy tobie i posłuchać, jak oddychasz. Ale zamruczałaś coś i uśmiechnęłaś się do mnie przez sen, więc pocałowałem cię i teraz uśmiechnęłaś się już naprawdę. Zobaczyć wschód słońca na plaży chcieliśmy już dawno, to znaczy ja chciałem, a ty dałaś się namówić.

Kiedy wyjechaliśmy, było już po piątej, ale jeszcze nie świtało. Wyjechaliśmy o wczesnym brzasku. Noc przełamywała się z dniem. Nocne demony już rozpierzchały się do swoich mrocznych kryjówek i powoli przecierały oczy poranne marzenia. W samochodowym radio Bach grał na klawesynie fugę c-moll. Plaża była prawie pusta, powietrze ciepłe i wilgotne. Niewielka grupka młodych ludzi przy brzegu oceanu śpiewała – Hare Krishna, Hare Kri-i-i-shna. Dwie gitary i bębenek kołysały lekką, monotonną pulsacją. Odeszliśmy trochę dalej i położyliśmy się na niezajętych o tej porze drewnianych leżakach. Była prawie doskonała cisza przerywana tylko rytmicznym szeptem oceanu. Na niebie działo się coś nieopisanego. Brzask wydobywał z mroku ciemnopopielate kontury chmur, podświetlone wszystkimi odcieniami cynobru i ochry. Nie wiedziałem, czy patrzeć na ciebie czy na niebo, ale wystarczyło, że byłaś koło mnie. Położyłem rękę na twojej dłoni i powtarzałem sobie w myślach haiku, które specjalnie dla ciebie wymyśliłem. Na horyzoncie przesuwała się powoli czarna wycinanka rybackiego kutra. Słońce pojawiło się niespodziewanie. Pomarańczowa kula bardzo powoli wynurzała się ze środka oceanu. Świtało. Brzegiem morza przeszła, obładowana torbami, para bezdomnych. Na wilgotnym piasku podskakiwały niespokojnie pierwsze mewy.

Niedziela

Bajka na dobranoc.

Na samym środku oceanu spotkały się dwa samotne, białe żagle. Nie ważne, który był bardziej samotny. Jeden z nich był większy, a drugi trochę mniej-

szy, ale obydwa bardzo, bardzo zmęczone, ze śladami przebytych sztormów, poszarpane przez wiatry i podniszczone morską solą.

– Jak się tutaj znalazłeś, jakie wiatry przywiały cię na sam środek bezbrzeżnego nieboskłonu? – zapytał pierwszy żagiel.

– To długa i skomplikowana historia – odpowiedział drugi. – Nie wiesz o tym i ja też o tym nie wiedziałem, ale szukam ciebie już od bardzo dawna po wszystkich oceanach świata. Szukałem cię w dalekich fiordach północy i pomiędzy lodowymi górami w samym środku arktycznej nocy, gdzie pośród zamarzającej ciszy słychać tylko trzask pękającej kry. Szukałem cię pośród nieodkrytych archipelagów, nieoznaczonych na żadnych geograficznych mapach świata, najeżonych koralowymi rafami i pełnych zatopionych wraków nieostrożnych statków. Szukałem cię pod bezkresnym niebem Krzyża Południa i pod niezmierzonym gwiazdozbiorem Wielkiej Niedźwiedzicy. Szukałem cię we wszystkich stronach świata i na wszystkich równoleżnikach, żeby nieoczekiwanie odnaleźć cię tutaj, w samym środku bezkresu. Jakie nieoczekiwane morskie prądy nareszcie przyniosły cię tutaj na spotkanie z przeznaczeniem?

– Nie wiem – odpowiedział pierwszy żagiel. Już nic nie wiem. Jestem bardzo, bardzo zmęczony. Płynę już tak długo i nie wiem dokąd. Przeżyłem wiele sztormów i nawałnic. Nie mam już steru, kompasu i sekstansu. Straciłem poczucie czasu i już nie potrafię odróżnić północy od południa. Już nic nie wiem. Proszę, pomóż mi.

Oczywiście, że ci pomogę – odpowiedział drugi żagiel. Po to zostałem stworzony. Po to tułam się od tylu lat po wszystkich oceanach świata. Posłuchaj, spotkałem kiedyś bardzo starego i dziwnego żeglarza, który wyznał mi w sekrecie, że niedaleko stąd, zaraz za linią horyzontu leży nieodkryta, tajemnicza wyspa. Wyspa, którą omijają statki, monsuny i huragany. Wyspa pełna kolorowych, egzotycznych ptaków, odurzająco pachnących kwiatów, ukrytych w zieleni wodospadów, cienistych zatok i rozświetlonych słońcem plaż, gdzie zaraz przy brzegu można zobaczyć leżące płytko w wodzie opalizujące rozgwiazdy. Wyspa, na której zatrzymał się czas. Popłyńmy tam ra-

zem. I popłynęły ku linii horyzontu. Dwa samotne, białe żagle. I chyba odnalazły tę tajemniczą wyspę, bo już nikt nigdy o nich nie słyszał.

Dobranoc

Wtorek

Ernesto Cardenal, ksiądz i jeden z największych poetów Ameryki Łacińskiej. Przez dziesięć lat minister kultury w rządzie sandinistów. Pisał również erotyki, co raczej nietypowe dla księdza. Kiedy papież, Jan Paweł II, też skądinąd poeta, odwiedził Nikaraguę po upadku reżimu Somozy, podczas ceremonii powitania zatrzymał się na chwilę przed klęczącym Cardenalem, coś mu mówił pochylony do ucha a potem prostując się pogroził mu żartobliwie palcem.

Dlaczego Ci o tym piszę? Dlatego, że niezwykle spodobał mi się jeden z jego wierszy.

Rozstając się stracimy oboje.
Ja, ponieważ jesteś tym, co kocham najbardziej
Ty, ponieważ to ja jestem tym który najbardziej cię kocha.
Ale z nas dwojga ty więcej stracisz niż ja,
Bowiem ja mogę jeszcze pokochać inne jak ciebie,
A ciebie, jak ja, nie będzie kochać już nikt.

Sobota

Wczoraj byłem w szpitalu. Starszy pan, pewnie ojciec, pchał wózek inwalidzki na którym siedziała prześliczna, młoda dziewczyna. Z nogawki szortów wystawał, chyba niedawno zaszyty, bezwładny kikut nogi. Jak często nie zdajemy sobie sprawy, jakim nieprawdopodobnym szczęściem jest to, że nic nam nie jest. I naszym dzieciom. Że możemy biegać, widzieć się i dotykać. I pisać do siebie listy. Na które zresztą zawsze niecierpliwie czekam.

Miss you

Wtorek

Nawet nie wiesz, że byłaś ze mną na koncercie. Mój łagodny obłęd doszedł do takiego poziomu, że znowu ulepiam cię z plasteliny wyobraźni. Zjawiasz się i znikasz, a może nawet nie znikasz, bo przecież rozmawiam z tobą przez cały czas, więc chyba musisz być bez przerwy przy mnie. Byliśmy na koncercie skrzypcowym Harrington String Quartet w Westminster Presbyterian Church, niewielkim kościele naprzeciwko Austin Middle School. W programie Mozart i Brahms. Kościół był wypełniony do połowy. Siedzieliśmy obok siebie w długiej kościelnej ławce pokrytej czerwonym pluszem. Tak naprawdę to nie wiem, czy lubisz muzykę poważną, ale myślę że tak, bo już po kilku pierwszych taktach zamknęłaś oczy i wydawało mi się, że powoli przenosisz się w jakąś inną rzeczywistość, w której nie trzeba myśleć o przeszłości i podejmować żadnych decyzji. Ja też zamknąłem oczy, bo zawsze zamykam, kiedy słucham muzyki, ale co kilka minut podnosiłem powieki i patrzyłem na ciebie z boku, bo wiesz, że kocham patrzeć na ciebie. A potem jakoś tak się stało, że dotknęliśmy się kolanami i to było jeszcze cudowniejsze niż muzyka Mozarta, za co się chyba Wolfgang Amadeusz nie obrazi.

Po koncercie wyszliśmy przed kościół, już było ciemno, wiał chłodny wiatr i słychać było szum liści. Myślałem o Brahmsie, o jego platonicznej miłości do Klary Schumann, o biednym Schumannie, który zwariował, skoczył z mostu do Renu i zakończył życie w domu dla obłąkanych i o tym, że jest tyle rzeczy, które powinniśmy robić razem albo po prostu być razem, bo jesteśmy utkani z tej samej nieuchwytnej materii.

Czwartek

Twoje fotografie. Uzbierało się ich już dużo, ale oglądam je tak często, że znam je już na pamięć. Wystarczy, że zamknę oczy i już mogę

Cię wyświetlić na monitorze pamięci. O każdym z nich można by napisać krótkie opowiadanie, o tym co się wydarzyło przedtem i potem, bo obejrzenie zdjęcia to wydobycie z pamięci całej sekwencji zdarzeń.

Na przykład to. Jesteśmy w Houston, w niewielkim parku koło mieszkania twojej przyjaciółki Soni, dzień lub dwa po twoich urodzinach. Do Houston dotarłem poprzedniego wieczoru, ale już za późno, żeby się z tobą spotkać. Przenocowałem w hotelu i rano przyjechałem do Soni, żeby cię zobaczyć. Przywitałaś mnie z lekkim dystansem, nawet nie objęliśmy się na przywitanie. Wzięliśmy ze sobą suczkę Soni i poszli na spacer. W parku jakiś chłopak zrobił nam zdjęcie. Masz na sobie dżinsy, bladoniebieski sweterek i czerwoną, rozpiętą kurtkę Soni. Na zdjęciu uśmiechasz się tak ślicznie, że aż się robi miękko w kolanach. Mieliśmy jeszcze przed sobą trzy dni, z których pamiętam każdą sekundę. Jeszcze nie wiedziałaś, że po powrocie napiszę do ciebie, że cię kocham. Ja też nie wiedziałem.

Albo to. Stoisz na ganku przed domem w czerwonym sweterku i zamszowej kurtce. Jesteś tak delikatna i prześliczna, że aż zapiera dech w piersiach. Jedna ręką opierasz się o drewnianą balustradę, masz przymknięte oczy, lekko przechyloną głowę i twarz łagodnie skierowaną w stronę nieba, jakbyś zapraszała słońce, żeby pocałowało Cię w usta. Pamiętam każdy szczegół Twojego ubrania i każdy refleks światła na twojej twarzy. Mam twój obraz zakodowany w genach pamięci. Gdziekolwiek się znajdziesz, będziesz zawsze przy mnie. Ze mną. Bezpiecznie schowana pod moimi powiekami.

Moje ulubione, to pewnie to, którego może nigdy nie widziałaś. Jesteśmy w St. Augustin na północy Florydy. To już chyba nasz ostatni dzień. Jest rano, siedzisz na fotelu, jeszcze w koszulce nocnej. Przed tobą paruje kubek z kawą. Jesteś nieuczesana i jeszcze nieschowana za maską makijażu. Jesteś gdzieś daleko. Zamyślona, delikatna i bezbronna. Poprzedniego dnia rano dałem ci różę i wysłałem i-Phonem wiadomość, że cię kocham. Odpisałaś – I love you too – ale miałem wrażenie, że zrobiłaś to z delikatności, żeby mi sprawić przyjemność.

Jerzy Tabor

O ostatnim zdjęciu, które mi przysłałaś ze swojego jesienno-niedzielnego spaceru, można by pewnie napisać całą książkę, bo jest na nim całe twoje życie. Zrobiłaś je sobie sama, z wyciągniętej przed siebie ręki. Typowe selfie. Za tobą, na drugim planie, brązy i czerwienie jesiennych drzew, niedzielny spokój małego miasteczka. Jesteś bardzo blisko, na dotknięcie ręki. Słońce rozświetla twoje włosy rozsypane na policzku, ale najważniejsze są twoje oczy. Niby patrzysz na mnie, ale tak naprawdę to patrzysz gdzieś daleko. Na mnie, ale przeze mnie. Na tym zdjęciu jest wszystko, co Ci się w życiu przytrafiło. Wszystkie Twoje smutki, rozczarowania, zawiedzione nadzieje i nieprzespane noce. Trzeba to tylko umieć zobaczyć. Ja umiem.

Dobranoc.

Jerzy Tabor

Wspomnienie o Edwardzie Stachurze

Z Edkiem, bo tak Go nazywaliśmy, nie Sted tylko Edek, poznał mnie Janusz Kukliński. Janusza poznałem w drugiej klasie liceum. Szkolne koleżeństwo przerodziło się w trwałą przyjaźń. Łączył nas podobny sposób patrzenia na świat, wspólne chodzenie na wagary i fascynacja literaturą. Wyszukiwaliśmy i podsuwaliśmy sobie książki i autorów: Cendrarsa, Marqueza, Borgesa, literaturę iberoamerykańska, Grochowiaka, Marka Nowakowskiego itd. Czytaliśmy zachłannie, no i oczywiście pisaliśmy wiersze. A wiosną rozdawaliśmy dziewczynom bukieciki fiołków. I tacy właśnie wkroczyliśmy a raczej wstąpiliśmy w epokę Edwarda Stachury.

Kiedy już mieliśmy za sobą lekturę „Jednego Dnia", „Falując na Wietrze", „Dużo Ognia" i „Całej Jaskrawości" zdarzyło nam się poznać autora osobiście. Gdzieś pod koniec listopada 1970 roku natknąłem się w „Życiu Warszawy" na notatkę o spotkaniu z Edwardem Stachurą w Związku Literatów Polskich na Krakowskim Przedmieściu. Zarabiałem wtedy grając na fortepianie w warszawskich kawiarniach. Nie mogłem znaleźć zastępstwa, więc poprosiłem Janusza, żeby sam poszedł na to spotkanie i sprawdził, czy ten Stachura jest rzeczywiście taki anielski jak postacie jego książek. Okazało się, że było to spotkanie bardzo ważne, bo znakomity, bezstronny krytyk literacki, pan Henryk Bereza, właśnie tam i wtedy użył, słynnego później określenia twórczości Edwarda Stachury jako „życiopisanie".

Relacjonując mi przebieg wieczoru, Janusz wspomniał, że Edek uprzejmie, ale stanowczo zaprotestował. Powiedział – „Panie Henryku, to nie zupełnie tak, bo ja jednak przede wszystkim żyję, a dopiero potem piszę".

Po zakończeniu wieczoru Edek podszedł do Janusza i zaproponował rozmowę. Poszli piechotą na Grochów i nocna rozmowa na Rębkowskiej, gdzie mieszkał Edek, przeciągnęła się prawie do rana. Januszowi bardzo zależało, żeby mnie poznać z Edkiem i któregoś dnia na przedwiośniu pojawili się u mnie w mieszkaniu na Bartoszewicza. Edek w czarnym, zrobionym na drutach szaliku, owiniętym wokół szyi, z którym nie rozstawał się nawet latem.

Obserwowaliśmy się uważnie z ostrożnym, kocim dystansem. Obróciliśmy kilka zdań i mogło tak pozostać na zawsze. Mogliśmy się rozstać otarłszy się zaledwie naskórkami. Ale w pewnym momencie Edek podszedł do otwartego okna i lekko się wychylił, chcąc lepiej objąć wzrokiem rozległą skarpę Powiśla i wtedy z górnej kieszeni jego dżinsowej bluzy wysunął się mały notatnik adresowy i spadł na dół. Nie na chodnik, tylko zatrzymał się na ceglanym gzymsie wystającym z muru poniżej okna.

Nie zastanawiając się wskoczyłem na parapet i trzymając się stalowej linki piorunochronu zsunąłem się na gzyms. Podniosłem notes i podałem go wychylonemu Edkowi. Edek serdecznie podziękował, a w jego oczach zobaczyłem wdzięczność i podziw, które skruszyły pierwsze lody. Napiliśmy się herbaty i poszliśmy na spacer po Krakowskim Przedmieściu. Nie rozmawialiśmy jednak ani o poezji, ani o literaturze, ani o książkach. Cieszyliśmy się słonecznym, wiosennym przedpołudniem i, jak mi się wydaje, sobą nawzajem.

Myślę, że Edek czuł się z nami dobrze i traktował nas jak przyjaciół, chociaż miał wielu znakomitych znajomych. Często przychodził do mnie z nieodłączną gitarą albo po prostu brał moją i śpiewał swoje piosenki. Zawsze z takim samym napięciem, jakby to było pierwsze albo może ostatnie, jedyne wykonanie. Jako muzyk miałem uporządkować Edka piosenki i dokonać zapisu nutowego. Choćby na potrzeby praw autorskich w ZAIKS-ie, bo Edek coraz częściej wykonywał publicznie swoje piosenki.

Widywaliśmy się często, chociaż nieregularnie. Edek wpadał koło południa z Grochowa, a Janusz przychodził z pobliskiego Uniwersytetu Warszawskiego, gdzie studiował germanistykę. Coś tam piliśmy, najczęściej czerwone wino. Tunezyjską Gelalę lub Fatimę, 38 złotych za butelkę. Tak więc sączyliśmy cierpką krew winogron i rozmawialiśmy niespiesznie o imponderabiliach. Zdarzało się, że Edek wpadał zadowolony i podniecony i śpiewał nam swoją nową „genialną", najczęściej ostatniej nocy napisaną piosenkę. Czasem powstawała podczas, jak mówił, ataku euforii, kiedy zdawało mu się, że się unosi w powietrzu. Kiedyś z dumą

zaśpiewał nam jednofrazową kompozycję z dwoma zaledwie wersami tekstu „już jest za późno, nie jest za późno...". Wyraźnie oczekiwał zachwytu i aplauzu i z trudem dał się przekonać, że „fantastyczna kompozycja" może stanowić zaledwie refren i że trzeba koniecznie dopisać trochę więcej. Wreszcie zgodził się z naszymi sugestiami i powstała znakomita, kompletna, dramatyczna piosenka.

Zdarzyło się kilka razy, że Edek śpiewał i grał na gitarze, a ja próbowałem akompaniować mu na fortepianie. Nie był to łatwe, bo czasami grał niezupełnie frazowo. Kiedy pytałem go, dlaczego tak gra, odpowiadał niepodważalnym argumentem: „Bo teraz jest taka tendencja. Nawet Victor Jara to tak gra". Niestety nie wiedzieliśmy, o kogo chodzi.

Od 1973 do 1976 grałem ze swoim zespołem w Finlandii, więc naturalnie nie widywałem się z Edkiem przez ten czas. Po powrocie mieszkaliśmy z moją fińską żoną, Paulą, na Rębkowskiej, kiedy Edek pojechał w Polskę. Pamiętam, że kiedy wreszcie kupiłem swój pierwszy samochód – „malucha" Edek był zdruzgotany. – I ty też, i ty też– powtarzał patrząc na mnie z wyrzutem, ale później dzwonił od czasu do czasu, żeby mu coś przewieźć, więc jakby zaakceptował sytuację.

Latem, 1976 roku Janusz przeprowadził się z Warszawy do Lublina. Jednak zawsze, kiedy wpadał do Warszawy, staraliśmy się spotkać we trójkę. Myślę, że Edek traktował nas trochę jak „papużki nierozłączki". Zdarzało się, że adresował list lub kartkę do Janusza, a treść skierowana była do mnie lub odwrotnie. Czasem kopertę adresował do nas obu, a list zaczynał od słów – „Moi Panowie co się zowie", kończył zaś: „Pozdrawiam żony wasze i narzeczone".

Wielkanoc miałem spędzić z Edkiem u Janusza w Lublinie, ale ani na Rębkowskiej ani gdzie indziej w Warszawie go nie znalazłem. Latem wyjechałem na dwuletni kontrakt do Niemiec. W sierpniu grałem ze swoim zespołem w bawarskiej miejscowości Coburg, kiedy przyszedł list od Janusza. Rozerwałem kopertę siedząc na ławce w parku. W liście Janusz opisywał szczegóły śmierci i pogrzebu Edka. Dookoła sączył się leniwy, pogodny, słoneczny dzień. Biegały dzieci, ktoś przejechał na rowe-

Koniec wersji demonstracyjnej